1847. Nr 4. d. 1 Lutego. ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

# PRZEGLĄD NAUKOWY

**Treść przedmiotów:** O najnowszych ulepszeniach w żegludze parowéj i marynarce, z dołączeniem krótkiego opisu machiny cieplikowéj Ericssona; prze. Prof. Gimn. realn. warszaw. Aug. Bernhardta. — *Bez przesądu,* Szkic spółczesny. (Ciąg dalszy.) — *Korrespondencija:* List Józ. Ign. Kraszewskiego. — *Kronika piśmiennicza polska:* Kodeks Dyplomatyczny Polski, obejmujący przywileje królów polskich, wielkich książąt litewskich, bulle papiezkie i t. d. — Opowiadanie historyi dla dzieci. — Nowiny.

## O NAJNOWSZYCH ULEPSZENIACH W ŻEGLUDZE PAROWÉJ i MARYNARCE

### z dołączeniem krótkiego opisu Machiny cieplikowéj Ericssona.

(Dalszy ciąg.)

Niech nam wolno będzie przed bliższym opisem Princetona i propellatora, — pokrótce przytoczyć tu bieg życia jego wynalazcy i konstruktora, bo pewni jesteśmy, iż on dla wielu będzie równie nowy jak zajmujący.

Jan Ericsson urodził się r. 1803 w prowincyi Vermaland położonéj pomiędzy górami obfitującemi w kruszce wybornego szwedzkiego żelaza. Ojciec jego był właścicielem kopalni i ztąd już z młodu miał sposobność poznać skład i działanie rozmaitych narzędzi i machin w górnictwie używanych. Machiny tam będące, zbudowane były przez znakomitych inżynierów i przedstawiły obszerne pole nauki dla umy-

słu czującego skłonność do mechaniki. Pod tym wpływem wrodzony talent Ericssona wcześnie mógł kształcić się i rozwinąć. Mając lat dziesięć, własnemi rękami i wedle własnego planu zbudował młody nasz mechanik tartak, tudzież wykończał liczne rysunki i modele zawiłych mechanizmów narzędziami własnego pomysłu i roboty.

W roku 1814 zwrócił on był na siebie uwagę sławnego Hrabiego Platen, który słysząc o młodocianych jego usiłowaniach, osobiście widzieć go żądał. Przeglądając pilnie rozmaite rysunki i plany jakie przy téj sposobności młody Ericsson okazał, i zwracając je mu, odezwał się doń w sposób równie prosty jak wyrazisty: „Postępuj tak daléj, jakieś rozpoczął, a swego czasu dokonasz coś nadzwyczajnego.” Hrabia Platen w ścisłéj żył przyjaźni z Bernadottym królem Szwecyi i od niego wysoce był poważany. Jestto ten sam Platen, który, wbrew oppozycyi założonéj przez szlachtę tameczną i nieledwie przez cały naród szwedzki, pierwszy podał i dokonał myśl owego olbrzymiego dzieła połączenia morza północnego z baltyckiém za pomocą kanału, przeznaczonego dla wielkich okrętów wojennych. Umarł on jako Vice-król Norwegii, zostawiając po sobie w północnéj Europie sławę i imię jednego z najznakomitszych ludzi wieku naszego. Te kilka słów zachęcenia Platena głęboko wyryły się na umyśle młodego mechanika, utwierdzając go i zachęcając do dalszych postępów w zawodzie przez niego obranym.

Wkrótce potém młody Ericsson przyjęty był jako uczeń do korpusu inżynierów, a po sześciu już miesiącach nauki, mając lat dwanaście, mianowany został mierniczym przy budowie wielkiego kanału okrętowego pod zwierzchnictwem Hrabiego Platen. W roku 1816 poruczono mu nadzór i kierowanie robotami, sześciuset ludzi przy kanale rzeczonym. Naówczas Ericsson nie był jeszcze dosyć urosł, by mógł patrzyć przez celowniki narzędzia niwellacyjnego, i dla tego pracując przy nich, wstępować musiał na stołek, który pomocnik za nim przenosił. Kanał ten kopany był przez żołnierzy; a ponieważ karność w wojsku szwedzkiém wymaga, aby żołnierze z odkrytą głową stawali w obec swoich przełożonych, zdarzało się często, że ludzie sędziwi, z czapką w ręku, od dziecięcia odbierali rozkazy. Takie było zatrudnienie naszego Ericssona podczas lata, w zimie zaś z ołówkiem

i piórem w ręku projektował wiele około kanału robót, które też wedle jego planu wykonane zostały. W chwilach wolnych ciągle zajmował się zdejmowaniem rysunków z każdego przedmiotu i każdéj nieledwie sztuki machin i narzędzi użytych do robót około wielkiego tego przedsięwzięcia, tak dalece, że już w piętnastym roku życia posiadał najdokładniejsze rysunki całego tego dzieła własną ręką wykończone.

Zażyłość jego z wojskowymi podczas budowy kanału zrodziła w nim pociąg do wojskowości, i dla tego w siedmnastym roku życia wszedł do armii szwedzkiéj jako junkier bez wiedzy i zezwolenia przyjaciela i dobroczyńcy swego Hrabiego Platen. Krok ten powodem był do nieukontentowania Platena, który nalegał na niego, iżby postanowienie swoje zmienił; lecz widząc, iż namowy jego nie trafiały do przekonania wychowańca, zakończył martwiącą go rozmowę z młodym junkrem temi słowy: „*idź do czarta.*" Nieograniczone uszanowanie z jakiem zawsze Ericsson był dla Platena i uczucie wdzięczności za troskliwość tegoż około jego edukacyi, lubo głębokie uczyniły wrażenie na umyśle młodzieńca, zachwiać go jednak niezdołały w raz przedsięwziętym zamiarze.

Zaledwo młody junkier wszedł w obowiązki pułku swego, a już wydarzył się przypadek, grożący zniweczeniem przyszłych świetnych jego widoków. Pułkownik jego, Baron Koskull, popadł w niełaskę u króla, w tym właśnie czasie, kiedy Ericsson przedstawiony był do awansu. Okoliczność ta powodem była, że polecenie do posunięcia na wyższy stopień skutku nie wzięło. Wielce to bolało pułkownika, ale mając przy sobie mappę wojskową zrobioną przez przedstawionego przez niego junkra, zaniósł ją do następcy tronu księcia Oskara, prosząc go o wstawienie się u króla za młodym wojskowym.— Książę przyjął mappę bardzo uprzejmie, podziwiał piękne i dokładne jéj wykończenie, okazał ją następnie samemu królowi, a tak na łączne wstawienie się księcia i mappy, młody junkier mianowany został oficerem.

W tymże czasie rząd szwedzki polecił dokładne wymierzanie północnych stron królestwa. A ponieważ z wyraźnéj woli króla do téj roboty użyci być mieli oficerowie armii; przeto też Ericsson, którego

pułk natenczas stał w północnych górzystych okręgach, udał się do Sztockholmu dla złożenia egzaminu wymaganego od tych, którzy postąpić chcieli na płatnych mierniczych rządowych. Instrukcya jego matematyczna, jaką pobierał pod kierunkiem Hrabiego Platen, wielce mu była pomocną. Odbył egzamen jak najświetniéj i z niemałém zadziwieniem egzaminatorów pokazał, iż całego Euklidesa nieledwie dosłownie umiał powtórzyć, w czém mu nie tyle pamięć dobra dopomogła (bo téj Ericsson mało co był ćwiczył), ile prawdziwa gruntowna znajomość jego jeometryi. Ztąd téż żadnéj nie ulega wątpliwości, że on mianowicie biegłości w téj gałęzi nauk matematycznych winien był jasne i ścisłe swoje wyobrażenia o przedmiotach tyczących się mechaniki.

Powróciwszy w góry, zabrał się do czynności nowego swego zawodu z wielką gorliwością, i dzięki mocnéj swéj budowie ciała w krótkim bardzo przeciągu czasu sporządził mappę tak rozległéj części kraju, jakiéj żaden z dawnych i wprawnych mierniczych nie zdołał okazać. Dziś jeszcze w archiwach Szwecyi złożone są szczegółowe mappy rozległości przeszło piędziesięciu mil kwadratowych własnéj jego roboty. Ani mozolne i nużące prace mierniczego, ani obowiązki wojskowe nie dostarczały dostatecznego żywiołu dla pracowitości i energii młodego tego oficera. W tymże samym czasie rozpoczął on trudną pracę nad dziełem tyczącém się budownictwa kanałów, do którego dołączyć miał 64 dużych rycin, przedstawiających różne budowle, maszynerye i narzędzia używane przy wykonywaniu tego rodzaju robót inżynierskich. Wedle umowy przypadło na Ericssona nietylko wygotowanie wszystkich planów i rysunków konstrukcyjnych do wspomnionego dzieła, ale nadto rytowanie ich na blaszе; a ponieważ one wykonane być miały podług nowszéj metody rzutów z cieniami linijnemi, widział się przeto w konieczności złożenia sobie wprzód potrzebnéj do tego machiny rysunkowéj, którą téż z najlepszym skutkiem sporządził. Do pracy téj następnie tak usilnie przykładał się, iż obok licznych innych zatrudnień, w ciągu roku jednego, jedynaście dużych tablic wykończył, którym znawcy rysunków konstrukcyjnych i machin niepospolite przyznali zalety.

Spólnikiem jego w tém przedsięwzięciu był niemiecki oficer inżynieryi major Pontz, który zajmował się tekstem opisowym w języku niemieckim dla zapewnienia temu dziełu większego pokupu. Inne obowiązkowe zatrudnienia przeszkodziły niezwłocznemu jego dokończeniu, a postępy w inżynieryi cywilnéj tak są szybkie, iż spóźnienie o lat kilka wydania tego rodzaju pracy naukowéj, o wiele zmniejsza praktyczną jego użyteczność.

Wśród tych rozlicznych zatrudnień, odwiedzając pewnego razu dom swojego pułkownika, Ericsson pokazał mu doświadczenie bardzo proste, jak przez kondensacyą płomieni łatwo stworzyć sobie można siłę mechaniczną. Przyjaciel jego będąc podobnież miłośnikiem nauk, uderzony prostotą i niespodziewanym skutkiem téj próby, zachęcał Ericssona, iżby więcéj tym przedmiotem zajmował się, który mu zdawał się być nader ważnym w swych skutkach. W rzeczy saméj młody oficer zajął się powtórzeniem okazanego doświadczenia na większą skalę, i do tego doszedł, iż mu się powiodło stworzyć działacza poruszającego, równego mocy machiny parowéj o sile dziesięciu koni. Wypadki otrzymane tą machiną ze względu na szczupłą jéj objętość, i małéj stosunkowo użytéj ilości paliwa, tak były zadowalniające, że Ericsson powziął myśl udania się ze swoim wynalazkiem do Anglii, owego obszernego pola przyprowadzania do skutku wszelkich wynalazków w mechanice.

Za pośrednictwem swego pułkownika pozyskał Ericsson zezwolenie od króla zwiedzenia Anglii, gdzie przybył d. 18 maja 1826 roku. Tam zajął się budową machiny poruszającéj na zasadzie wyżéj wspomnionéj; lecz wkrótce spostrzegł on, że machina jego cieplikowa, wprawiona w ruch za pomocą węgli kamiennych, zupełnie inne przedstawiała skutki, jak ów model na którym on doświadczenie powtórzył w górach Szwecyi, używając za paliwo suchych i smolnych wiórów surowych. Dla tego nie tylko nie mógł wywiązać silnego i rozłożystego płomienia, ale nadto gwałtowne ciepło dobywające się z węgli kamiennych, tak szkodliwie działało na wszystkie części składowe jego machiny, iż ta wkrótce zniszczoną została. Kosztowne to doświadczenie, jak spodziewać się można, połączone było z niemałémi nakła-

dami, a młody awanturnik naglony przez wierzycieli, zupełnie środki swoje materyalne wyczerpnął.

Odtąd wynalazek szybko następował po wynalazku, aż nareszcie archiwum biura patentów w Londynie zbogacone zostało rysunkami znakomitego kotła parowego złożonego na zasadzie sztucznego ciągu powietrza, zasadzie, któréj jedynie winniśmy dobrodziejstwa rozlewającego się obecnie na cywilizacyę życia społecznego narodów przez parowozy ułatwiające szybką komunikacyę po drogach żelaznych. Ogłaszając nowy ten wynalazek, Ericsson słusznie osądził za rzecz stosowną połączyć się z dawnym jakim ustalonéj opinii domem, trudniącym się budową machin w Londynie; i dla tego wszedł w spółkę z Johnem Braithwaite, którego imię zaszczytnie jest znane w rocznikach mechanicznych Anglii. Zaledwo wynalazek był ogłoszony, wnet stósowna nadarzyła się sposobność przeświadczenia się o praktycznéj jego ważności. Dyrektorowie koleji żelaznéj między Manchester i Liverpool w nadziei wywołania dogodniejszego środka przewozu nad machinami stojącemi, któremi towary i osoby miały być holowane, przed ich postawieniem i urządzeniem, zgodzili się uczynić poprzednio odezwę do talentu mechanicznego w tym kraju. Wyznaczono więc nagrodę na rok 1829 za najlepszy parowóz, a próby porównawcze odbyć się miały na małéj wówczas już gotowéj przestrzeni wspomnionéj drogi żelaznéj. Lecz ponieważ w téj mierze publicznych ogłoszeń nie było, Ericsson dowiedział się o wyznaczonéj nagrodzie dopiéro na siedm tygodni przed terminem wyznaczonym do odbycia doświadczeń. Krótkość czasu bynajmniéj nie odstręczyła go od ubiegania się o palmę zwycięzką, a nie chcąc dać ubiedz sobie téj stanowczéj sposobności, niezwłocznie wziął się do dzieła. Rysunki parowozu jego pomysłu, narysy konstrukcyjne z zadziwiającą szybkością sporządził, sam zajmował się wygotowaniem modelów do odlewów, ich obrobieniem, złączeniem z sobą i ustawieniem z niezrównaną zręcznością i pośpiechem, i tak całą machinę w przeciągu tych siedmiu tygodni wykończył. Dzień próby nadszedł. Ubiegające się o zwycięztwo parowozy stały w pogotowiu, a nowość tego rodzaju wyścigów sprowadziła w to miejsce nadzwyczajne mnóstwo ciekawych. Po obudwóch stronach

kolei w odległości przeszło na milę, tysiące widzów stanęło. W podobnym rodzaju wyścigów, żarcików w ciągu harcu czynić niepodobna, bo przy nich massy bezwładne w ruch są wprawione i one to poruszają się li wedle niezmiennych i niepowściągnionych praw przyrodzonych. Znak do ruszenia z miejsca był dany. Zamiast spięcia ostrogami lub uderzenia spicrutą, delikatne dotknięcie się wentila parowego nadaje ruch i życie nowéj machinie. Aż do téj chwili największa prędkość z jaką ludzie po powierzchni ziemi przenosić się zdołali w wyścigach konnych osiągniono; i żaden téż z obecnych większéj widzieć chyżości nie mógł się spodziewać. Powszechném było przekonaniem, że największość prędkości do jakiéj parowozy dojść mogą, nie przejdzie nigdy dziesięciu mil angielskich na godzinę. Pomimo tego zwinny nasz parowóz *Nowotny* pod kierunkiem swego wynalazcy i w towarzystwie Johna Braitwaite z największém podziwieniem przytomnych przeleciał wytkniętą metę z szybkością pięćdziesięciu przeszło mil na godzinę!

Najgłębsze dotychczas milczenie zebranych tłumów nagłe przerwały grzmoty oklasków, głuszące świst przeraźliwy dobywającéj się pary i turkot toczących się kół parowozu. Dla przekonania się jak wielkie wówczas musiało być zadowolenie i zadziwienie, oraz na dowód tego, o ile wartość własności niekiedy podnieść się daje szczęśliwém powodzeniem wynalazków mechanicznych, dosyć jest przytoczyć, że skoro tylko Nowotny dwie wytknięte mu mile tam i napowrót przebiegł, akcye kolei żelaznéj między Liverpoolem a Manchester natychmiast o 10 na sto podniosły się.

Lecz jakże łatwo sprawiedliwe nadzieje wynalazców bywają zawiedzione! Chociaż zasada budowy kotła parowego, któréj Nowotny winien był stanowczą swą przewagę w chyżości, obecnie zachowaną jest u wszystkich parowozów, to jest zasada sztucznego ciągu powietrza;—z tém wszystkiém sposób sprawienia tego ciągu u teraźniejszych parowozów znacznie odstępuje od użytego przez Ericssona, i przez prosty tylko przypadek został odkryty. Urządzenie to kotła, lubo w odmiennéj od pierwotnéj swéj postaci, po szczęśliwie odbytéj próbie z Nowotnym, tak szybko upowszechniło się, iż prawdziwy jego wynalazca najmniejszéj ztąd korzyści nie mógł osiągnąć.

Jemu wszelako winniśmy praktyczne udowodnienie, już dawniéj przez teoryę ustanowionego prawa, że dla utworzenia danéj ilości pary, koniecznie potrzebna jest odpowiednia rozciągłość przez płomienie ogrzewanéj powierzchni. Uderzająca lekkość i mała objętość nowego kotła Ericssona dozwoliły korzystać ze siły pary w wielu razach, w których dawniéj jéj użyć nie było można. Pomiędzy innemi, chcę tu tylko wymienić parową sikawkę ogniową zbudowaną prawie współcześnie z parowozem Nowotny przez PP. Ericsson i Braithwaite, i którą w czasie pogorzeli zabudowań należących do Agyle Rooms w Londynie, wiele zajmowano się. Nieco późniéj u tychże konstruktorów zamówiona była przez króla pruskiego sikawka podobna, lecz o większéj sile, i téj ostatniéj skutecznemu działaniu przypisać należy ochronienie wielu znakomitych budowli w czasie wielkiego pożaru, który przed kilku laty w Berlinie wybuchnął. Za wynalazek ten otrzymał Ericsson w roku 1842 większy medal złoty od Instytutu mechanicznego w New York, przeznaczony za najlepszy plan parowéj sikawki ogniowéj.

Przechodziłoby to zakres téj lekcyi, gdybyśmy chcieli wyszczególnić liczne wynalazki dokonane przez kapitana Ericsson w ciągu pobytu swego w Anglii.—Tą razą wyłącznym naszym zamiarem było opisać tylko treściwie przystósowanie propellatora do okrętów wojennych, będącego od wielu lat ulubionym przedmiotem jego badań i obliczań, a z którego udoskonalenia nieobliczone korzyści i dobrodziejstwa na społeczność spłynąć mogą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



# BEZ PRZESĄDU,

SZKIC SPÓŁCZESNY.

(Dalszy ciąg.)

## VI.

Marzenia moje daleko mnie uniosły.... lecz wróżą mi nadzieję!

—

En tous pays le jeu est le vice de l'aristocratie.
*Bulwer.*

Jeszcze porannéj rosy kropelki błyszczały na listkach i ożywionych chłodem nocy kwiatach, jeszcze ciepłe promienie słońca bujnych nie osuszyły trawników, gdy Helena z przekładami poezyj Szyllera przez Minasowicza w ręku, zwolna przechodziła się już po cienistych ulicach ogrodu. Przeczytała po raz drugi *Bogowie Grecyi*, przeczytała wpół-głośno: wyrazy brzmiały tak dźwięcznie, tyle tam było życia, uczucia, tyle nasuwało się myśli—powtórzyła po raz trzeci:

Co wiecznêm życiem ma w pieśni zasłynąć,
Trzeba, by tutaj zaprzestało żyć!

i jakiś rzewny odcień zaległ w miłych rysach, oczy zbiegły z książki.... O, bo tego godła użył niegdyś wieszcz znamienity; w tém godle była tak wielka myśl zawarta, ale myśl smutna—Helena zadumała się. Żal przeszył serce tak łatwo ulegające każdemu wrażeniu, jéj marzenia unosiły ją daléj a daléj; w cudownéj poezyi Szyllera znalazła dla nich tyle żywiołu—w każdym wyrazie zdawało jéj się, że odbrzmiewają owe westchnienia, które zawsze odgłos w jéj niewieściéj znajdowały duszy.

„Smuci się niwa obumarła, skrzepła,
Nie spotka bóstwa nigdzie tęschny wzrok;
Z obrazów pełnych żywotniego ciepła
Cień tylko został jak podniowy mrok.
Gdzieżeś mój świecie? Ach wracaj co wcześniéj!
Wiosno natury! gdzie twój piękny kwiat?
W czarownym jeszcze tylko kraju pieśni
Zatrzymał życie twój bajeczny ślad.

„Nie bajeczny, nie bajeczny!"— poszepnęła pomimo woli—„nie bajeczny!"

— Cóż to? pani *improwizujesz?* a to coś nowego takie uniesienie!

Helena odwróciła się nagle, ujrzała majora i powitała go uściskiem ręki.

— Nie *improwizowałam*, ale uczułam rzeczywiście jakieś wieszcze natchnienie--odrzekła z uśmiechem.—Czytałam *Bogowie Grecyi*, zabolało mnie jakieś wspomnienie i zraniły wyrazy, które myśl moja gdzieindziéj zastosowała... w tę chwilę właśnie pan nadszedłeś i zbudziłeś mnie....

— Już myślałem, że szał poetyczny hrabiego Roberta owładnął i panią....

— O nie!.... Ale kiedyż pan major powrócił? czy dziś rano dopiéro?

— Zeszłéj nocy, nie widziałem się jeszcze z panem Henrykiem, a kupiłem dla niego dzielnego wierzchowca, będzie zadowolony.

— Czy jarmark był liczny?

— Zostawiłem tam jeszcze mnóstwo szlachty. Nie jeden zgrał się jak stary smyczek.

— Jakto? w *faraona*.

— W *lancknechta*.

— Czy i pan major próbował szczęścia?

— Zajrzeliśmy tam tylko ze Zbrożkiem do téj jaskini....

— Ale przecież i on nie grał?—zapytała Helena z zajęciem.

— Uchowaj Boże! przyjechał odebrać trzy tysiące zł. pol., które mu za obrazy pocztą nadesłano. Spotkaliśmy sie na targowisku i chodziliśmy z sobą. Ale pan hrabicz Siedlicki się spisał!

— Przegrał dużo?

— Jeszcze gorzéj! grał niemając pieniędzy, przegrał dwa tysiące pięćset złotych i nie miał czém zapłacić. Nieszczęście zaś chciało, że te pieniądze wygrał od niego jakiś Konopiarski, niecne indiwiduum, stary szuler, więc ich się przez gwałt domagał, gadał mu największe grubijaństwa, lżył go nawet, tak że biedak języka w gębie zapomniał. Znaleźli się jeszcze i inni, którzy gorzkie przymówki czynili: że nie powinien był do gry przystąpić, skoro pieniędzy nie miał; że to jest pewien rodzaj niedozwolonego zabierania cudzéj własności, bo gdyby był wygrał, toby był wygraną zagarnął, nic nie zryzykowawszy i t. p., —jednóm słowem, że go wcale nie oszczędzano i nikt nie myślał odezwać się za nim. Chciałem ja coś przemówić, ale mnie zakrzyczano. Zbliżyła się ostateczność dla biednego Roberta, Konopiarski miał zamiar zabrać mu konie, gdy nagle ktoś zawołał:

— „Panie Robercie! pan masz u mnie dwa tysiące pięćset złotych, są tutaj, zaspokój niemi pana Konopiarskiego.”

Obracam się: to Stanisław ocalił honor hrabiego, który się zawsze tak niewłaściwie z nim obchodził....

— Mów pan raczéj niegodnie, ubliżając samemu sobie a nie temu, od którego tyle jest niższym!—zawołała Helena.—I jakżeż się Robert znalazł?

— Osłupiał i z bladego zrobił się amarantowym....

— Może się więcéj tego zawstydził, że *jakiś tam* Zbrożek, syn chłopa, ocala honor jego, aniżeli tych obelg, któremi go dopiéro co obsypywano.

— Hm! kto tam potrafi czytać w sercach ludzkich! Ochłonąwszy trochę wyjąkał Robert:

—„Tak, tak.... i.... właśnie czekałem.... Dziękuję panu!”—podał rękę Stanisławowi i dodał po cichu: „Mama moja zwróci panu te pieniądze jak najrychléj.”—Tymczasem Konopiarski przeliczył je i schował, wybąknąwszy coś nakształt przeproszenia.— Zaraz potém wyszliśmy z Stanisławem i nie wiem co się daléj stało.

Major udał się do Henryka, którego lekka słabość od bytności na jarmarku była wstrzymała. Helena pozostała w ogrodzie, chciała daléj czytać, usiadła pod rozłożystym klonem — czytała wprawdzie,

przewracała jednę stronnicę po drugiéj, ale myśli uchwycić nie mogła; potém podumała trochę, gdy promienie coraz wyżéj posuwającego się słońca przekradać się pomiędzy gałęziami drzewa zaczęły, i wdzięczną jéj postać oblały, powstała i zwolna szła ku pałacowi.— Zbliżając się do swoich pokoi, widziała wybiegającą od marszałkowéj Małachnę—dziewczę znowu miało pełne łez oczy. Helena chciała do niéj przemówić, gdy w tę chwilę ukazała się i szeroka pani Kobusowicz.

— At, dzień dobry! tak rychło, a hrabianka już ze spaceru?

— Dzień dobry! odrzekła Helena i szybko drzwi otworzyła, dalszéj unikając rozmowy.

---

## VII.

Éh bien! qu'on y prenne garde! le dedain, l'injustice, la fierté mal appliquée, exciteront plus...... que la misére. *Mad. A. Arnaud.*

Przy stoliku do pisania w swoim pokoju siedziała Helena. Długa biała suknia spłynęła w lekkich fałdach malowniczo około jéj składnéj postaci, drobną ręką podpierała głowę. Przed nią leżał świeżo napisany list do pani Łódkowskiéj—piękne jéj oczy spoczęły na skreślonych dopiéro wyrazach:

„Mamy tutaj od parę tygodni panią marszałkowę Kobusowicz, ciotkę Laury, kobietę nieznośną przez swoję najniedorzeczniejszą dumę; że jéj brakuje niemal całkiem umysłowego ukształcenia, nie widzę potrzeby dodawać. Ale co gorsza: marszałkowa wywiera nieograniczony wpływ na Laurę, i z żalem widzę, że wszystko com kiedykolwiek wyrzekła dla sprostowania jéj skrzywionych wyobrażeń, obróciło się w niwecz. To jedno tylko jest dobre, że marszałkowa nic a nic po francusku nie umié, więc przynajmniéj mowy naszéj nie kaleczą.

Rozpisałam się w ostatnim liście do ciebie, ukochana pani, o sąsiedztwie Załęcza i oddałam słuszność pięknym przymiotom rodziny Połojewskich.—Pani Połojewska jest z okolic Wilna, brat jéj, pan Witold Wojniłło ma tamże ziemski majątek, bawi obecnie w Zielonéj Woli.... i stanął w rzędzie starających się o moję rękę. Pan Witold na-

leży do najukształceńszéj młodzieży, jaką dotychczas miałam sposobność poznać; odznacza go prawość charakteru, uczucie prawdziwego honoru i zupełnie wyższy sposób myślenia,—jedném słowem wszystko, wszystko za nim przemawia, nawet i ujmująca powierzchowność. Wszakżeż i Laura nie jest mu przeciwną, dowiedziawszy się przypadkowo, że babka jego była jakąś tam księżniczką!—Ale pomimo jego rzeczywistych niepoślednich zalet, z głębokim żalem przyjdzie zranić mi jego szlachetne serce.... I czegóż chcę, czegóż ja chcę?—zapytasz bardzo słusznie moja droga pani—czegóż ja więcéj wymagam?.... Nie wiem!...—Usiłowałam zrazić go udaną oziębłością, lecz może sobie postępowanie moje inaczéj tłumaczy, bo nie zaprzestał odwiedzin swoich w Załęczu—i nie musiałabym być kobietą, gdybym się na sile uczuć jego nie poznała.... Żal mi go!

Pan hrabia Siedlicki nie pokazał się już od dwóch tygodni, przysłał nam tylko poezije swoje, świeżo z druku wyszłe, pod nazwą: *Chmury i Promienie*, gdzie każdy wierszyk niedołężném jest naśladownictwem naszych wsławionych wieszczów.

Piszesz mi droga pani, żem ci zajmująco skreśliła obraz Stanisława Zbrożka, że ciebie, kochana moja!, *zaintrygował*.... Niepamiętam com wtedy o nim popisała, to jednak dzisiaj dodać mogę: że go z dniem każdym więcéj cenię —Henryk go szczerze polubił, a major zna go oddawna. Pan Stanisław jèst niemal codziennym u nas gościem...."

Na tych słowach stanęła Helena, pióro wypadło jéj z ręki i jakiś tęschny wyraz mignął w jéj oczach: od czterech dni Stanisław nie był w Załęczu!—Wyjrzała oknem, z którego daleki rozpościerał się widok, było na piętrze. Po-za polami, złocącemi się dojrzałą pszenicą, po-za zielonawym ugorem, za brzeziuką młodą dostrzegła szarą wieżyczkę, widoczną na czystém błękicie nieba—tam leżał Czarlej!... Helena znowu na dłoń spuściła czoło i zadumała się—zadumała o tém, co przed czteryma dniami zaszło. Było to o przedwieczornéj godzinie, całe towarzystwo Załęcza siedziało przed pałacem wśród kwietników, gdy przybył Stanisław. Laura mu się zaledwie odkłoniła, marszałkowa ani nań pojrzała, i pomimo powitania Henryka i szczerego uścisku majora, Helena dostrzegła ile go niegrzeczność dwóch pań dotknęła. Po kilku chwilach, gdy ani Laura, ani marszałkowa nie mięszały się

do rozmowy, gdy mu niechętnemi spojrzeniami swoję niełaskę poznać dały,—Stanisław pożegnał je lekkim ukłonem, pochylił się z wyrazem najwyższego szacunku przed Heleną, uścisnął rękę Henryka i majora, i szybko się oddalił. Żal nieokreślony ścisnął wtedy serce Heleny, krew jéj gwałtownie uderzyła do skroni, lecz bez namysłu powstając nagle, pobiegła za nim i zawołała:

— Panie Stanisławie! proszę, chciéj mi pan jutro przywieść Tłumaczenia Odyńca.

Zbrożek przystanął, był bladym a w twarzy jego wybił się wyraz pogardy i żalu.

— Przyślę je pani jutro, niezawodnie.

— Przyślę!... Ja prosiłam, ażebyś mi je sam przywiózł.

— To jest dla mnie niepodobieństwem....

— Zrozumiałam pana!—wyrzekła Helena, byli tak oddaleni od towarzystwa, że nikt nie mógł posłyszeć co mówią.—Ale pan winieneś być pobłażliwszym, wyższym nad tego rodzaju słabości ludzkie, i nie wymagać nic lepszego od tak podrzędnego umysłu, jakim pani marszałkowa jest obdarzona; a Laura, to jest dziecko, które stroi lalki w takie sukienki, jakie jéj podano. Henryk pana ocenić potrafił i żalby nam było, gdybyś się od nas usunął.... Ja proszę: bądź pan wyższym nad niedorzeczność jaśnie wielmożnéj marszałkowéj: przywieź mi sam jutro Odyńca!

W rysach Stanisława walka sprzecznych z sobą uczuć była widoczną.

— Przywiozę je sam jutro—wymówił stłumionym głosem i pożegnał ją.

Miał więc nazajutrz być w Załęczu, tymczasem już trzy dni minęły a Stanisław słowa nie dotrzymał!—Myśl ta właśnie niepokoiła Helenę, gdy nagle Pawlicka wbiegła do pokoju, zarumieniona, z iskrzącym wzrokiem.

— Cóż się stało moja Pawlicka?

— Och pani! garderobiana pani marszałkowéj dała Małachnie koronki do przesuszania. Dziewczę stanęło przy kominku, garderobiana przyskoczyła do niéj i odpychając ją, wytrąciła jéj z ręki koronki, które w ogień furnęły i nadpaliły się trochę. Krymkiewiczowna naro-

biła krzyku i hałasu, że się aż cała pralnia zatrzęsła, i ot pani marszałkowa kazała lokajom swoim Małachnę ochłostać, a biédne dziewczę, męczone codzień, już i tak ledwie żyje....

— Ochłostać! zawołała z oburzeniem Helena, porywając się z krzesła.—Gdzież mój brat, albo pan major?

— Obadwaj panowie jeszcze z rana gdzieś konno pojechali....

Helena szybko wybiegła.

— Pani marszałkowa jest w salonie!—wołała za nią Pawlicka.

— O paniczko najukochańsza! już ją prowadzą—wymówiła stara Jakóbowa, którą na wschodach spotkała.

Helena blada, bez tchu do salonu wbiegła. Marszałkowa spoczywała w poręczowém krześle z założonémi rękoma. Laura brzdąkała na fortepianie.

— Przez litość i bojaźń Boga!—zawołała na ich widok z powiększoném oburzeniem—pani marszałkowa odwołaj karę na Małachnę... to nie po ludzku, to woła do Boga!... Lauro!—dodała, zwracając się ku niéj.

— Ciociu!—wymówiła Laura.

— Ej, moja hrabianko, po cóż się w to mieszasz, co do ciebie nie należy: ona jest moją i kwita....

— Pani odwołasz swój wyrok!

— Czyż się moja panienko wszystkiemi chłopami i chłopkami opiekować myślisz?

Helena więcéj jeszcze zbladła, lecz tłumiąc w sobie najwyższą zgrozę i pogardę, z umiarkowaniem wyrzekła:

— Pani marszałkowa chwaliłaś nieraz te perły, zróbmy zamianę: weź je pani, a odstąp mi Małachnę—i Helena zdjęła z szyi sznurek najpiękniejszych orientalnych pereł.

— Dla czegożby nie, ot jeżli ci to moja hrabianko przyjemność sprawia—i odbierając perły rozśmiała się.

W tę chwilę ukazał się we drzwiach młody, przystojny mężczyzna—twarz jego niezwykłe wyrażała wzruszenie.

— Pani marszałkowo! przemówił—ja wstrzymałem ochydną karę, którą rozkazałaś zapewne w pierwszéj chwili uniesienia....

— Małachna jest już moją, jest moją!—zawołała Helena, wybiegając z salonu, za nią pospieszył i pan Witold Wojniłło.

W sieni spotkała płaczące dziewcze i Pawlicką.

— Małachno, jesteś wolną! nie jesteś już poddanką: możesz pójść gdzie zechcesz, albo przy mnie pozostać.

— Przy panience zostanę!—zawołała dziewczynka, rzucając jéj się do nóg.

— Powstań, powstań Małachno, ja tego nienawidzę....

— Jestem sierota, nie mam ojca, ni matki. Całe życie będę paniencc służyła!—wołała z płaczem.—Jam biedna na swiecie a panienkę kocham jak anioła!...

— Uspokój ją Pawlicka—wymówiła Helena, ukrywając łzy, które na jéj długich rzęsach zabłysły.

— Nie mogę teraz do salonu powrócić—wyrzekła, gdy Wojniłło drzwi od pokoju otwierał—mnie potrzeba powietrza.

Wyszli przed pałac, gdzie świeże trawniki i piękne klomby zajazd zdobiące łączyły się z chodnikami ogrodu.

— Bóg pana zesłał! Henryka i majora nie było.... Ta marszałkowa jest niegodną imienia kobiety!

— Ile mnie ten wypadek dotknął, wysłowić nie potrafię, bo jakież pani o nas Litwinach poweźmiesz wyobrażenie!

— Zachowam to, które dotąd miałam: piękne i dobre! Czyżbym ich tylko z pojedyńczych czynów oceniać miała? Uwielbiam cnoty siostry pańskiéj, Litwinki.... i czyżbym pana o coś nieszlachetnego posądzić mogła?

— Dzięki za te wyrazy!—zawołał Witold z wzruszeniem.—O zachowaj pani tę wiarę w szlachetność serca, wierzaj, że i u nas....

— O ja kocham Litwę, tę piękną Litwę urokiem poezyi otoczoną, ona nam dała naszych pierwszych wieszczów, a jeżeli....

W ciągu téj rozmowy weszli w głąb' zacienionéj drzewami ulicy, lekki tylko poszmer niezrozumiałych wyrazów dochodził czujne ucho pani marszałkowéj, która drzwiami od salonu zcicha na ogród wyszła, ażeby posłyszéć co o niéj mówią. Po niedługiéj chwili wjechał Stanisław Zbrożek, na dziedziniec zeskoczył z konia—szanowna ciocia hrabiny wtoczyła się do pałacu, Stanisław pobiegł, gdzie mu biała mignęła sukienka. Na skręcie długiéj z włoskich kasztanów ulicy spotkał Helenę i Wojniłłę—oboje w tę chwilę byli milczący: rysy mło-

dego Litwina zaciemiał smutek, w oczach Heleny przebijał się wyraz współczucia.

— Pan Stanisław!—zawołała nieco pomięszana.

— Daruj pani!—wymówił i pobladł nieco—daruj pani.... żem się wcześniéj z danego nie wywiązał słowa: pani kasztelanowa przyjechała przed trzema dniami.... Tłumaczenia Odyńca przywiozłem.

— Przyjechała! jakże się cieszę, że poznam tak godną osobę. Lecz chodźmy do pokoju, zapewne....

— Wybacz pani łaskawie—ozwał się Wojniłło—że się tutaj pożegnam: nie chcę więcéj widzieć marszałkowéj. Panu Henrykowi chciéj pani oświadczyć wyrazy szczerego szacunku i przyjaźni, a jeźli go kiedy jeszcze zobaczę....

— Jak to?

— Ja dziś te strony opuszczam....

— Pan jedziesz....?

— Na Litwę.

Helenie nagłe wzruszenie przez chwilę mówić wzbroniło —potém wyrzekła:

— Zabierz pan z sobą moje najszczersze życzenia.

— Szczęście i pomyślność dla pani.... bądź pani tak szczęśliwą, jak na to zasługujesz...—głos Witolda się stłumił. Pocałował jéj rękę, skłonił się Zbrożkowi i szybko odbiegł—turkot oddalającego się pojazdu głucho odbrzmiał w głębi duszy Heleny.

Wieczorem tego samego dnia Helena dokończyła listu do pani Łódkowskiéj:

„Zostaję pod nader cierpkiém wrażeniem—dzień dzisiejszy smutnym był dla mnie: zraniłam uczucia najszlachetniejszego człowieka!..

Skoro tylko krewna twoja, droga moja pani, opuści Skalno, przybywaj do Załęcza, nieczekając jesieni, jak'eś to w ostatnim napisała liście: ja tęsknię do ciebie moja ukochana, tęsknię do Skalna, tęsknię do lepszych ludzi i.... już sama nie wiem, co się we mnie dzieje—już sama nie poznaję siebie!

Cieszę się na poznanie kasztelanowéj, która do Czarleja przybyła. Odwiedzimy ją jutro. Marszałkowa zostaje w domu, z czegom niewypowiedzianie zadowolona: jest mi w jéj obecności, jak gdyby ona była złowrogim duchem, niszczącym w około mnie wszystko, co serce ukochało!

Do widzenia!

Załęcz, 25 lipca.

*Helena.*"

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*



# LISTOWANIE.

—

## LIST J. I. KRASZEWSKIEGO.

Chcesz wiedziéć o literaturze u nas, chcesz wiedziéć coś o mnie, za oboje ci dziękuję, na oboje odpowiadam jak umiem i mogę. Z sercem zbolałem, z duszą smutną do głębi, trudno coś porządnie napisać, sprobuję jednakże zdać ci sprawę.—Literatura nasza żyje wprawdzie dotąd i coraz nowemi dzieły życie swe objawia, ale daleko jesteśmy od téj żywéj widocznéj sympatyi, która przed kilką laty między piszącemi a czytającemi egzystować się zdawała. Ów serdeczny związek, owa tajemnicza sympatya, między organem powszechności a nią samą, ów węzeł wielki na któryby coś rachować można, zdaje się nie egzystować w téj chwili. Co gorsza, rozpatrując się w przeszłości, nie wiem czy przyznać mamy, aby kiedyś coś nad gorączkową ciekawość, łączyło nas z publiką naszą. Wina może być obustronna. W historyi kilkunastu lat ubiegłych, spójrzmy bezstronném okiem, jak łacno zawsze z początku przyjmuje publiczność występującego pisarza, jak dworuje z niego rokując wielkie nadzieje. Aliści ubiegł rok, dwa, a już owe ukochane dziecko leży obryzgane błotem.—Wina dziecka? powiész może? nie zawsze jednak. Wina biednego Adama w nas, krewkości naszéj, jakby to dawniej powiedzieli. Drażliwe jak stare niewiasty, podejrzliwi jak zawiedziona kobieta, wszędzie złe widzimy. Poświęcenie długie, niezbite dowody wylania się dla dobra powszechnego, nic tu nie pomagają. Jeśli nie ma nawet pozoru, powiedzą że pozory mylą—cóż dopiéro gdy jest najmniejszy, jakikolwiek pozór? Kto posiadał w nas takie zaufanie, aby mu *quand même* zawierzyć chciano, aby mógł śmiało odważyć się na wszystko co uzna potrzebném, silny zaufaniem

jakie posiada, aby mógł wyrazić bez oglądania się każdą myśl swoję nie lękając się fałszywych tłumaczeń, i iść do celu swojego nie obawiając się od czytelników ukamienowania? To sprawia właśnie, że u nas nikt nic nie może. Niepodobna bowiem jak *ktoś* całkiem nie oglądać się na opiniję.— Ludźmi jesteśmy. Ofiara opinii czyni się tylko w razie ostatecznym, jest to najwyższy naszych czasów heroizm, na któren mało się kto zdobyć potrafi. Zresztą, co człowieka powstrzymywać, podpierać ma na téj ciężkiéj drodze pracy, którą przeznaczenie i wola nasza wyznaczyła nam cierniem i nieustanną męczarnią? Uczucie obowiązku pozostaje jedno. Ale to pojęcie obowiązku zachwiane będzie tysiącem głosów, które ci posłannictwa i obowiązku szyderczo odmówią.—Posłuchawszy głosów tych do koła wybiegających, kto jest tak silny, aby się niemi nie wzruszył? Wszyscy szepczą z uśmiechem: Dumny! kto powiedział mu że to jego missya? kto mu powiedział że to jego obowiązek? kto kazał mu czynić to co czyni? Niech umilknie, niech przestanie, lepiéj będzie.

A wierz mi, z głębi serca ci to mówię—nikt nie pojął, jakiego potrzeba poświęcenia, aby pozostać na téj drodze, co ją ludzie pospolicie za bity gościniec, za trakt do sławy poczytują? Nadużyto wyrazu poświęcenie, ale tu używam go bez nadużycia. Człowiek nie jest olbrzymem ani aniołem, nie ma sił nadludzkich i fizyczną w nim łatwiéj siłę wyrobić niż moralną.—I fizyczna przecie podsycać się potrzebuje.—Cóż podsyca nasze siły stargane?

Krytyka wita pisarzy pochwałami gorszémi od najjadowitszéj nagany lub szyderstwem bez sumienia: tłum nie rozumie i powtarza albo dojadające pochwały, albo dowcipny a najgłupszy ucinek, którym zajadły zbir literacki z kąta strzelił, zapewniwszy się wprzód że mu nie odstrzelą i stanowisko dobre obrawszy.—Czujesz się obojętnością jednych, pochwały drugich, szyderstwami ostatnich zwalczony, bezsilny; płaczesz wewnątrz swéj duszy, upadasz. Zawód twój nie tylko że ci nie daje chleba powszedniego, ale ci go odbiera jeszcze, odrywając od pracy coby mogła los tobie i dzieciom zapewnić! —Cóż w zamianę? Oto zarzuty powszechne, oto nielitościwe niepojęcie, niepoznanie, obojętność bezduszna nareście. W towarzystwach pisarz jest

straszydłem, boją się go jak nudnego moralisty, unikają jak od niebezpiecznego satyryka, co gotów na wzór pochwycić kogo na gorącym uczynku.... W kole rodzinném utyskują nad tém co zowią szaleństwem, słabością, chorobą. Na świecie najdziksze baśnie krążą o nim, w dziennikach szarpią go bez miłosierdzia z systematyczną pochwałą lub naganą. Gdzież za to wszystko zapłata? Lub raczéj gdzie pociecha, gdzie źródło z któregoby się nowych sił nabrało? Nigdzie.—Cóż sprawia że przecież tylu żyje tém życiem okropném, tylu nowych wesoło się mu poświęca?—Wielu myślą zrazu, że trocha sławy za wszystko im zapłaci. Nie wiedzą jak ta sława rzecz czcza i zmienna! Sława to kadzidło; muszki i aniołowie nawet nie wyżyją kadzidłem. Muszkom potrzeba wody, pyłów, słońca, aniołom oblicza bożego. W początkach zawodu, młodemu serce i głowa się pali; piękna kobieta pochwaliła jego poezye, znakomity człowiek przemówił do niego przychylnie. Roi, że wszystko mu tak pójdzie i daléj. Ale to są brzegi miodowe gorzkiéj czary. Nikt nie wié na co się dobrowolnie wydaje; biorąc pióro do ręki, postradał spokojność, zaprzedał siebie, nie jest panem czasu, myśli, przyszłości; cofnąć mu się niepodobna. Cóżby zyskał cofając się, gdy pierwsze swe utwory zostawia na pastwę: tę część siebie samego, która jest już w ręku wszystkich, pod panowaniem pierwszego-lepszego co czytać umié? Napisał, wydrukował i stał się niewolnikiem od téj chwili. Myśl swą rzucił na wieczystą igraszkę ludziom, najdroższe swoje dobro! myśl może łzami oblaną, którą zeplwają i wyszydzą, myśl szyderską może, którą wziąwszy za pospolite błazeństwo podrzucać będą jak piłką lub wyciskać z niéj śmiech, gdy on w niéj ukrył gorzkie a wielkie znaczenie. Posłyszy wówczas najsroższe słowa: słowa bezdusznych głupców, najgrawające się jego myśli, jak ów dziki co znaleziony zegarek biorąc za zwierzątko, cisnął nim wreszcie o kamień.

Myśl jego, nazwisko, osoba, nie należą od téj chwili do niego; wyrzekł się ich i zaparł. Prywatne życie zatrute zostanie śledztwem nieustanném: będą szukali w osobach utworzonych przez wyobraźnię, przyjaciół, znajomych, krewnych jego samego. Szczęśliwy jeśli z tego komedio-dramatu, nie wywinie się w końcu okropna domowa tra-

jedija. Poróżnią go z przyjacielem, któremu szepną że go odmalował, oddzielą od żony, któréj napomkną że zbyt gorąco opisuje miłość, aby nie miał gdzie kochać bez nadziei. Nie poszanują siwych włosów ojca, świętego serca matki, niepokalanego dziewictwa jego dzieci. Wszystko to może kosztować jedna chwila autoromanji. I za to wszystko? co w końcu.—??

Uczucie obowiązku! wielkie i urocze słowo! Ale będą i tacy co to poświęcenie wytłumaczą i uczynią w oczach ludzi rachubą! O co za męczeństwo! co za męczeństwo! Nareszcie upaść pod niem potrzeba, bo któż ma siły aby je wytrzymał do końca?

Egoizm Adama odżyje z pod tych ciosów, podniesie się i zaryczy, co mu dasz na pastwę! Jaką pociechę moralną? jaką zachętę? jaką nadzieję?—nic—nic!

Całą pociechą jeszcze myśl że posiędziesz szacunek współziomków, wdzięczne uczucie potomności i głos duszny, wewnętrzny powie ci: uczyniłeś coś był powinien.—Ale szacunek u spółziomków nie czczeż to u nas słowo?? Onże się to objawia w listach bezimiennych, w krytykach pełnych złości a próżnych myśli, w tych codziennych szpilkowych uderzeniach liliputów, które powoli wszystką krew wyprowadzają z człowieka.—Jestże u nas aby jeden z piszących, coby się (nie mając sobie w sercu nic do zarzucenia) potrafił pochwalić stałym szacunkiem współziomków? Wszystkie wczorajsze bałwany, topnieją jak śniegowe i zmieniają się w trochę błota. Najczcigodniejsze imiona oplwane a grób ich jeśli nie zapomniany, to gorzéj, bo obluzgany wszetecznie. W nikogo z nas nie wierzą. W naszéj literaturze nie ma człowieka, coby potrafił zyskać szacunek powszechny i stały. Wina tu nie piszących może, ale publiki. Nigdy się w początku nie zastanowi kogo ma szacować; a po chwilce zmiana nagła admiracyi najwyższéj na potępienie bez litości. Bawią się sobie ludźmi. Gdzieindziéj, w Niemczech, Francyi, Anglii, znakomici zasługą, mają szacunek nawet przeciwników swoich, nieprzyjaciół, osób innéj opinii. U nas byleby najlżéj drasnął czyje przekonanie złe czy dobre, zginiony, wyklęty i zmieszany z błotem. Od téj chwili nie ma już ani talentu, ani zasługi, i jest.... niegodziwiec, głupiec...... etc.

Czy lepsze u nas wdzięczne uczucie potomności? Karpiński nie ma przystojnego grobowca i kamienia, nad położone przez familią i liche. Kochanowski dotąd na pomnik oczekuje, twórca języka poetycznego, największy pisarz naszéj przeszłości zapomniany ohydnie; nie wiem jak i gdzie pogrzebiony Rej z Nagłowic, Górnicki, Bielscy, Szymonowicz, Klonowicz i tylu innych. Potomność w osobie księgarzy wydaje ich dzieła, gdy zysku się spodziewa, handluje ich mózgiem, chwali, gdy pochwałą sobie piedestał buduje. Wieluż to wielkich pisarzy naszych nawet ocenionemi nie zostali? Twardowski, Miaskowski, Sęp, Grochowski, ledwie znani z nazwiska. W sądach ile znów niesprawiedliwości i fałszu umyślnego!! Cieszmyż się wewnętrznym tylko głosem duszy, tak! to jedyna pociecha. Ale skąd sił nabrać do walki, czém się zgłodniałemu pokarmić? Jest to życie na pustyni.

Ty mi winszujesz że mieszkam na wsi! Wieś ma swoją złą i dobrą stronę dla mnie. Gdybyż mieszkać na wsi, a wsią nie rządzić, nie gospodarować! Wyobraź sobie owe ranki cudowne, owe wieczory czarodziejskie, i pracowite ciche dnie nad książką i rozmowy w cieniu znajomych ci brzoz moich.—Ale jest i druga strona połyskującego medalu.—Jedno nabycie wsi u nas kosztuje kilka lat zdrowia i życia zamkniętych w kilku tygodniach najgłupszych, najprozaiczniejszych męczarni. Opisałem ci to dawniéj. Znasz już ten dramat prawniczo-mieszczański. Przypuśćmy, że już po wszystkiém. Jesteśmy na wsi aby się nią cieszyć, aby jéj używać.

Zapewne! zapewne! woła szydersko uśmiechając się Szatanek-Drażniciel.—Oto są pola nieuprawne, zaleźałe, opuszczone, zarosłe, niemierzone; oto są włościanie zdemoralizowani, bez chleba, uprzęży; obory zawalone, budowle z kołów i chróstu, zniszczenie, nieład—napraw to Waćpan wprzódy. Znasz zapewne bajkę, w któréj królewna jakaś, biały od szarego mak przebiéra. Złośliwa wróżka, co jéj zadała tę pracę napędza ptaszków, aby przebrane znowu mieszali. My taki mak przebieramy gospodarując całe życie.

Szczęśliwy, kto nie czuje się do żadnych obowiązków, temu obojętna jakich będzie miał pod swoją opieką włościan, jakim dla nich będzie panem i ojcem, byleby pieniądz wycisnął z ich potu. Ale nie

tak ja, nie tak już dziś większość pojmuje swoje powołanie. W naszém położeniu i stosunku do włościan, myśmy ich najbliżsi opiekunowie, ich duchowni rodzice: Święte dla nich mamy obowiązki. Nie dośćże samego dbania i troskliwości o sprawiedliwość? wszystko co się mimo twéj wiedzy krzywego dzieje, co się niesprawiedliwego popełni, twoją jest winą, na twoje spada sumienie. Musisz dbać o ich dobry byt, bo ten i do oświaty pierwszym warunkiem choć materyalnym, pracować nad moralnym ich stanem, nad religijną uprawą téj klassy wydziedziczonéj a przecie mogącéj być w prostocie ducha i szczęśliwą i użyteczną.

Wielkie to obowiązki, których żadne a żadne deklamacye wcale nie zastąpią, które czas zabierają, pracy wymagają i oddania się.— Staranie o włościan, o swój potém chleb powszedni, tysiączne kłopocięta codzienne, grady, deszcze i t. d. małoż to zatruje chwil? Prawdaż? nie ma jak wieś dla poety??

Nie powiem nic o sąsiadach i odwiedzinach, bo szczerze one więcéj przyjemności czynią, niż zawadzać mogą. Nierazem szczerze żałował dawnego mojego jakiegoś artykułu w Tygodniku z wybuchem złego humoru przeciwko gościom, bom zań stokrotnie odpokutował. Wypominano go nieustannie, ominął mnie z tego powodu niejeden gość miły, którego bym był przyjął z radością. Jak też to każde słowo bacznie obmyślać potrzeba! Żałowałem, powtarzam, nieraz tego artykułu tak absolutnie wytłómaczonego. Rozmowa ożywia, podbudza myśl, jest gymnastyką dla umysłu, wprawia go i sił mu dodaje. Ludzie, z któremiby co mówić nie było, są bardzo rzadcy. Poszukać tylko potrzeba co mówić z niémi, a od każdego czegóś się nauczysz. W najgorszym razie nauczysz się jeszcze nowego typu człowieka.— Rzadko mnie kto znudzi, a nie umiem wyliczyć ile istotnych korzyści, przyjemności odniosłem z rozmowy, gdziem najmniéj spodziewał się obojga. Mówię z serca co myślę. Lubię nadewszystko samotność z książką, pędzlem, piórem lub muzyką, z pięknym widokiem lub myślą powolnie się w głowie rozwijającą, są to pewnie najmilsi towarzysze. Ale człowiek potrzebuje ludzi, nie obejdzie się nigdy bez nich; lepszy ktokolwiek, niż nikt. Nie ma znowu dla postrzegacza,

człowieka obojętnego; wszędzie jest charakter do zgłębienia, rys jakiś do pochwycenia. Jeden czasem ruch schwytany, długie godziny nudów płaci. Ten udaje szczerość a ciągle jest żywem kłamstwem,— inny kłamie bezwstydnie i desperacko że boki zrywać potrzeba, inny gra pokorę z dumą w sercu, ów dumnie się nastrzępia, aby pokryć mały jaki ma dla siebie szacunek.—Ile postrzeżeń, ile obrazów! Nie mówiłem nic dotąd o sercu, o uczuciu. Małoż jest ludzi, do których nas ciągnie sympatya?

Lecz wróćmy do życia na wsi. Ono tu jest ciągłą walką, na nic czasu nie staje—praca nieustanna na chleb dla ciała, na chleb dla duszy. Wszystkie chwile zajęte nie zawsze jakbyś żądał. Wezmę jeden dzień dzisiejszy naprzykład. Budzę się i wybiegam z rana pomodlić się w ogrodzie, ale spotykam dwóch ludzi czekających już na mnie w ganku, potrzebujących uwolnienia od robót dziennych.— Zgoda na to. Zaczynam znowu modlitwę. Sotnik spotyka mnie z papierem. Jest to rozkaz wysłania furmanek. A więc.... posłać na wyznaczone miejsce. Ale na drugi papier odpowiadać potrzeba, siadam odpisuję, śniadam i zaczynam pisać, czytać lub malować, dopóki słońce wchodzące około południa do pokoju nie przypomni, że dzieci i żona czekają z objadem. Obiad przerywa pisanie, rozpoczęty obrazek lub wpół zrobione notatki historyczne. Po nim siadam znowu. Ktoś puka?—Kto tam?—To ja R....—Cóż pilnego? Narada gospodarska, co zrobić z sianem, z nagłą wyprawą furmanek, z dysponowaną robotą. Ułatwiwszy się, wracam do roboty raz jeszcze! Maluję, godziny biegną piorunem. Wtém ogrodnik wywołuje abym zobaczył kwiatek, pokazuje karczunek nowy na zaroślach, pyta o radę; ktoś inny spotyka na drodze z nowym interesem. Już późno do pracy, ale sprobujmy jeszcze.—Czas tak drogi! Zaledwie usiadłem, skrzypią drzwi jeszcze i jeszcze: ze stajni, od owiec przychodzą pytać, radzić się, wymawiać od czegoś.— Rzucam nareszcie książkę, pęzle, siadam na konia i wyjeżdżam w pole. Niestety! co krok wzruszać ramionami i wymówki robić potrzeba! Tu swoje własne zboża wypasają, nieopatrzni ludzie, owdzie nie tak zrobiono jak chciałem, pastuszki się pospały i owce poszły w las, lub co gorzéj na mokre bagno. Tam źle zorano, tam widać siano za rzadko.

Ale patrzcie, jak cudny za to zachód słońca, co za chmury płomienne, jaka cisza, jaki widok z téj góry! Wszystko zapomniane, tyle myśli, tyle wspomnień boleśnych i miłych cisną się do głowy! Ta piosnka pastuszka, odzywająca się z za góry, tyle przypomina. Byleby pastuszek co tak pięknie śpiewa, nie puścił bydła w żyto!—

Wracam. Tu czeka wieczorem fortepian.—Usiadłem z moją gromadką.—Ani pomówić, ani się pocieszyć, ani zagrać.—Wchodzi pastuszek prosząc o pieniądze.—Wiesz co to taka prośba, gdy często tak o nie trudno? Jakże mu przecie należnego odmówić? potrzeba oddać ostatnie. Uderzam znowu w klawisze.—Dobry wieczór! a co tam? kwestya z sąsiadem o bydło zajęte w szkodzie, potrzeba zaraz list pisać.

I znowu może sotnik o papiery, kursorye do podpisania. W późny wieczór wracający ludzie od roboty jeszcze spotykają w dziedzińcu z prośbami, aby ich od jutrzejszéj uwolnić. A tu siano na pokosach czernieje! Już noc, a jeszcze ktoś ze wsi ze skargą przybiega. I tak daléj, a daléj. Powieszże mi jeszcze, że nie ma jak wieś dla poety i pisarza? Może przekonany spuścisz głowę i rzeczesz:—przekonałeś! Teraz ja ci odpowiem.—Poczekaj, nie konkluduj jeszcze. Tak! prawda ciężkie to jest życie, ale mamy jako pociechę i nagrodę naturę zawsze cudną a cudnie odmienną, spokój pewien pomimo tych wszystkich kłopotów, któreby na nas krom klasztoru nigdzie nie minęły. Dajemy czasem dobry przykład, uczynim czasem co dobrego. Wreszcie to życie ruchliwe i czynne, nie dające spocząć ciału, ani umysłowi, wprawia oboje w pożyteczną działalność, siłami je obdarza.— Spokój rzecz pożądana, śliczna, ale największy spokój jaki pojąć zdołamy—to przecie śmierć. Samo cierpienie jest niechybnie potrzebne i wielką użyteczną gra rolę w ekonomii świata.—Zbyteczne zabija, często siły odbiera, czasem na chwilę gniotące, podnosi tylko i wprawia człowieka do walki, do myśli, do czynu.

Błogosławmy tego co dał pracę i cierpienie. Praca świętą i wielką jest, wielkie i święte cierpienie. Pomyślność egzaltuje, podnosi także człowieka, ale go kuje do ziemi, ale go przywiązuje do bytu doczesnego i teraźniejszości. Nieszczęście i radość zbytnia zarówno o sza-

leństwo przyprawić mogą; umiarkowane oboje dają siły i wzmagają w człowieku popęd do czynu. W pewnéj dozie, jednostajny ich skutek. Nie powiem, że cierpienie i roskosz są jednem, światło zawsze światłem, a ciemność tylko ciemnością, ale nieochybnym pewnikiem, że w ostatecznościach przeciwnych jednakie spotykamy skutki. Nie dzisiejszato tylko wie filozofija.

Opatruję się, że list mój za długi podobno, a nie tylko nie wyczerpał, ale zaledwie dotknął przedmiotu. Rzucam pióro, bo cudny wieczór mnie bawi.—Dolina znajoma ci, mgłami zalana. Księżyc rzuca długie cienie po niéj, niebo gwiaździste białemi chmurki jak runem wełny rozdartéj usłane.

Cisza, uroczysta cisza! zdaje się że jakiś głos potężny mówi w niéj, a my niedołężne stworzenia, nie słyszymy go, dla tego że wielki, że większy nad nasze organa drobne—pewny jestem, że usłyszałbym sfer harmonią, gdyby nie stępiałe karle uszy co słyszą robaczka w trawie a śpiewu sfer w błękicie etherów pochwycić nie mogą.—Ileż to razy świerszcz polny nie daje nam słyszeć głosu z nieba! Lecz po sto razy, dość tego nudnego rapsodu.

Grodek, 1846 r. v. s.



# PUHARY.

FANTAZIJA.

Służbę, złoto, druha miałem,
Śliczną dziewicę kochałem—
Służba—złoto—druh—kochanka—
Hej co-za myśl, co-za wzmianka!
    Sam tu chłopcze! hej!
    W puhar wino léj.

Sługa był mi wierny, pilny,
Przyjaciel szczéry, przychylny—
Piękność się ze mną pieściła
I jak syrena nuciła.
    Spełniam puhar! hej
    Chłopcze wino léj.

Raz do domu wracam, stukam,
Drzwi roztwieram, sługi szukam.
Sługa skradłszy skarb mój drogi,
Rzucił na zawsze me progi.
    Próżny puhar! hej!
    Chłopcze, wino léj.

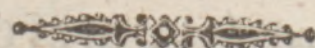
Lecę, na kochanki łono
Wylać mą duszę strapioną.
Wpadam—rozpaczy, boleści!
Ona się z nieznanym pieści.—
    Szybko w puhar, hej!
    Chłopcze, wino léj.

Wraz biegę do przyjaciela,
Co moje troski podziela—
On mnie cieszył, ściskał, radził
I wkrótce haniebnie zdradził.—
Jeszcze w puhar, hej!
Chłopcze, wino léj.

A więc miłość jest marzeniem,
A więc przyjaźń jest złudzeniem!
Służba—złoto—druh—kochanka—
Ach co-za myśl! co-za wzmianka!
W inny puhar, hej
Chłopcze wino léj!"

Wypił, zadrżał, strasznie zbladł,
I na ziemię martwy padł.

**Adam Słowikowski.**



## KRONIKA PISMIENNICZA POLSKA.

—

**Kodeks Dyplomatyczny Polski** obejmujący przywileje Królów Polskich, Wielkich Książąt Litewskich, Bulle papiezkie, jako téż wszelkie nadania prywatne, mogące posłużyć do wyjaśnienia dziejów wewnętrznych krajowych, dotąd nigdzie nie drukowane, od najdawniejszych czasów aż do roku 1506, wydany za staraniem i pracą Leona Rzyszczewskiego i Antoniego Muczkowskiego, Adjunkta Archiwum Głównego Królestwa Polskiego, wzbogacony przypisami aż do Nr. CVII, przez Antoniego Zygmunta *Helcel*, obojga prawa Doktora. Tom I. W Warszawie. Drukiem Stanisława Strąbskiego, przy ulicy Daniłłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich. 1847. W kroju ćwiartkowym. Nakładem Spółki.

**Codex Diplomaticus Poloniae** quo continentur Privilegia Regum Poloniae, Magnorum Ducum Lituaniae, Bullae Pontificum, nec non jura a privatis data, illustrandis domesticis rebus gestis inservitura, adhuc nusquam typis exarata, ab antiquissimis inde temporibus usque ad annum 1506, editus studio et opera Leonis Rzyszczewski et Antonii Muczkowski, Adjutoris Varsaviensis Tabellarii Publici Regni Poloniae, notis adornatus usque ad Nr. CVII, ab Antonio Sigismundo *Helcel*, Juris Utriusque Doctore. Tomus I. Varsaviae. Typis Stanislai Strąbski, vicus Danilovicianus Nr. 617, in aedibus quondam Bibliotecae Zaluscianae. 1847. in 4to str. 367; Przemowy X, *Indexów* po łacinie ułożonych str. LXXII i *Addenda et corrigenda*, str. 8 petytem.

Otóż od kilku lat zapowiedziany wyszedł nareszcie *Dyplomataryusz*, wsparty pracami najznakomitszych mężów w Paleografii, kronikarstwie i krytyce historycznéj. Najgorliwszym promotorem tego dzieła był L. Rzyszczewski, który starań swych nie szczędził dla zebrania dokumentów i ich opracowania w sposób ile może być najdokładniejszy. Głównie mu dopomagał w tym szlachetnym zawodzie Antoni Muczkowski, znany powszechnie z biegłości w czytaniu starożytnych rękopisów i nauki:—i przyłożył się także nie mało do wielu sprostowań napotykanych omyłek w odpisach zepsutych, przez porównanie ich z oryginałami. Trzecim spółpracownikiem był Antoni Zygmunt Helcel Doktor Obojga Prawa, który przyjął na siebie opatrzenie kodeksu notami, doprowadzonémi tylko do Nr. 107. Było jeszcze nie mało i innych uczonych, przez których ręce akta przechodziły nim do druku ostatecznie poszły. Dyplomataryusz ten zatém jest owocem wielu zwróconych ku pożytkowi powszechnemu usiłowań, które wspierali pomocą swoją w udzielaniu zasobów M. Radziwiłł, Ord. Zamojski, Stronczyński i Rusiecki.

Pozostaje teraz ocenienie korzyści tak starannie zbieranego plonu. Cały Dyplomataryusz podzielić można na akta duchowne i świeckie. Pierwsze zawierają nadania klasztorne od r. 1145 do wieku XVI; drugie nadania ziemiańskie rozpoczynające się nierównie późniéj i dochodzące tejże saméj epoki. Pod względem nadań duchownych jest to nader okwity zasób, okazujący pobożność i szczodrobliwość ludzi świeckich dla duchowieństwa. Wszędzie, pro salute animae, ziemianie i ksią-

żęta oddawali liczne wsi dla duchowieństwa z uszczerbkiem może nieraz własnéj rodziny. Dla tego szczególniéj ta klassa wspierać zapewne będzie usiłowania tak wielkie wydawców. Na wzór ten i ziemianie otrzymywali od książąt znaczne dobra z uwolnieniem włościan od ciężarów publicznych pro fidelibus servitiis udzielane. Dla właściwéj historyi jak najmniéj jest tu materjałów; do nich albowiem należą tylko: potwierdzenie przywilejów litewskich przez Stany koronne w 1401 roku,—Nadanie herbów panom litewskim w 1413 r.—i Unia zawarta 1501, których dostarczyło Archiwum Nieborowskie.

Co do uwag krytycznych zamieszczonych przez A. Z. Helcla, ten wprawdzie tu i ówdzie poprawia omyłkę kronikarzy, co do roku śmierci Biskupów; w oznaczeniu jednak nazw wsi i miasteczek nie jest bardzo szczęśliwy. Przywodzi Adelunga i Dyplomataryusze zagraniczne, a bierze Starołękę za Wielkołękę, dowodząc że z natury języka jedno i drugie toż samo znaczy. Nie chce wiedziéć nazwiska polskiego Birglau (Bierzgłowo); zostawia Brwelino zamiast Brwilno, a co się tycze Tarnowa znalezionego w przywileju Opizona legata papiezkiego pod r. 1254, tego szuka po całéj dyecezyi płockiéj, a nigdzie nie znalazłszy, mianuje go Czarnowem. Jak gdyby obszerność dyecezyi płockiéj taż sama była w 1254 co w 1222 r. Uderzył może Autora przypisków rok 1254, kiedy Tarnowo należało już do Krzyżaków; aleź Opizon w potwierdzeniu swojém powiada, że wsi klasztoru Augustijanów czerwińskich oddawna *(jam dudum)* nadane im zostały przez szczodrobliwość a niektóre z nich na 100 lat pierwéj przez Papieża Adryana były potwierdzone. Większa się jeszcze okazuje nietroskliwość w nazwiskach ludzkich, które autor nietknięte zostawia, jak gdyby chciał przekonać że są cudzoziemskie. Do takich należą np. Scetheus, Sgota, Cyber, Faleta, Szocha (Sieciech, Żegota, Scibor, Chwalęta, Abraham Socha).

Tak więc cały ten tom pierwszy, przy takim ogromie pracy, nie tyle rokuje jeszcze pożytku dla postępu Historyi, ileśmy się spodziewali; lubo jest ważnym pomnikiem. (Wszakże tu nowe znajdujemy dowody, iż Chrystijan Rawa, Cyster z Polski, którego pisarze cudzoziemscy, biorą za Niemca, bywał na wiecach polskich; że wolni ludzie sami przechodzili na kmieci i że od czasów Bolesława krzywoustego,

wieśniacy do gruntu przywiązani, od sądów królewskich uwalniani byli przechodząc pod prywatne). Co bynajmniej nie ujmuje zasłudze i niezmordowanéj gorliwości zacnych wydawców, którzy ten Dyplomatarijusz starali się o ile możności wzbogacić i udoskonalić, tym bardziéj że Dogiel i Raczyński, najlepsze Dyplomata już wydrukowali, zostawując wolne pole dla samych rzadkości.—Drugi tom ma mieścić Dyplomata kujawskie, bardzo zupełne; trzeci, mazowieckie i t. d.

---

**Opowiadanie Historyi dla dzieci**, przez Zenonima Ancyporowicza.— Warszawa, 1847, str. 243, w dwunastce.

Trzeba przyznać, iż jedną z najpotrzebniejszych książek, jedną z tych, których brak najbardziéj uczuwać się daje, są przystępnie opowiadane dla dziatwy dzieje. Książka, w któréj młody umysł, prócz faktów suchych obciążających pamięć, prawdziwy sąd o wypadkach dziejowych mógłby znaleść, nie jest dziś tak łatwą do napisania. Nie mamy bowiem obszerniejszego nawet dzieła historycznego, z prawdziwą napisanego krytyką. Témbardziéj więc trudno przystępnie czyli popularnie podobnyż przedmiot w dziełku podręczném dla młodocianego wieku wyczerpnąć. Wzmiankowane tu na czele Opowiadania Historyi, wcale nieodpowiadają żadnym, dobréj książki nawet, warunkom. Jest to bowiem zbiór samych faktów, do których bezładnego ułożenia, autor wcale widać nie zadawał sobie pracy, nie przeczytał nawet żadnych dzieł lepszych o tymże przedmiocie traktujących i dla tego wiele grubych popełnił błędów. Nie będziemy wszystkich wyliczali, bo mała objętość broszurki nie zasługuje nawet na rozbiór obszerniejszy. Wspominamy tylko niektóre omyłki, jakie zaraz prawie przy roztworzeniu książki dają się widzieć, np. że Mieczysław I. pochlebiając germańskiéj dumie, uznał się być lennikiem Niemców. Zapomniał przecież piszący, że Mieczysław był hołdownikiem cesarzów germańskich tylko po Wartę, a to w skutek bitwy przegranéj z Geronem Margrabią niemieckim. Daléj znowu autor mówi, że Sejm w Piotrkowie 1549 r. zebrany, z przyczyny zamieszek które zpowodowały ożenienie Zygmunta Augusta z Barbarą, *zerwanym* został; gdy tymcza-

sem komuż nie jest wiadomém, że pierwszy raz sejm *zerwany* był dopiéro za Jana Kazimiérza przez Sicińskiego. Wié o tém każdy kto lubi czytać już nie Historiję, ale wiérsze; wie każdy, kto przejrzał poeziją *Popas w Upicie.* Wprawdzie sejm pomieniony *spełzł* na niczém, ale między zerwaniem sejmu, a nie uradzeniem niczego, wielka jeszcze bardzo jest różnica. W oddaniu ostatnich czasów w. XVIII, autor najfałszywszym był malarzem, a o konfederacijach najmniejszego nie miał wyobrażenia.—Podobna więc robota, jest tak sklecona, jakby na lichy obstalunek księgarski, ale nie z sumiennością pisarza, a tém bardziéj znajomością historyka.

# NOWOŚCI.

Wyszło z drukarni Kommissyi Sprawiedliwości nowe dzieło pod tytułem: *Historya, Literatura* i *Krytyka — Pisma Jana Majorkiewicza.* Tom ten obejmuje właściwie tylko Literaturę Polską w jéj rozwinięciu historyczném.—Pod tymże samym napisem zamierza Autor różnemi czasy wydawać badania we względzie Literatury powszechnéj, rozprawy dotyczące filozofii sztuki (Estetyki) i zastosowanie zasad jéj czyli krytyki estetycznéj, oraz historycznéj do rozbiorów dzieł najcelniejszych.—Z wymienionych tu prac gotują się już do druku: Rzut oka na Literaturę hebrajską (Mojżesz) i rys historyi Literatury greckiéj (Homer): z piśmiennictwa zaś nowoczesnego, ogląd Literatury włoskiéj i rozbiór Jerozolimy oswobodzonéj Tassa w porównaniu z Arjostem. Późniéj nastąpić mają rozbiory proroctw hebrajskich, trajedij greckich, Szekspirowskich, i tak daléj. Autor powiada, że rozwinięcie świeżo wydanych pomysłów do dziejów piśmiennictwa, stanowić będą oddzielne monografje dotyczące literatury krajowéj, które drukiem ogłaszać zamyśla. Wszakże tom obecnie wydany, stanowi oddzielną całość.— Obszerniejszego rozbioru pism Jana Majorkiewicza, znanego z wielu prac umieszczonych w piśmie naszém, w jak najkrótszym czasie dać nie omieszkamy.